

CEZARY HARASIMOWICZ



LIRA
WYDAWNICTWO

 **Bieta**

Powieść o życiu Elżbiety Ficowskiej, cudownie ocalonej z getta

Bieta

CEZARY HARASIMOWICZ

Bieta

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-53-3

1.

Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Królewską, bo była malownicza, a Pan Bóg od czasu do czasu lubił napawać się przyjemnym widokiem. Ulica Królewska już z samej swej nazwy błyszcząca dostojnością. Sąsiadowała z ogrodem Saskim pachnącym późnym latem, obok wznosił się jasny budynek Zachęty i ciężkawa bryła Giełdy, dalej widać rozległy plac marszałka Piłsudskiego, gdzie przeżył się majestatycznie pałac Saski. Pan Bóg przystanął na chwilę przy Grobie Nieznanego Żołnierza, ale tego dnia nie chciał się smucić, więc popłynął dalej, na zachodnią stronę, minął ulicę Marszałkowską i zatrzymał się na Królewskiej obok drogiej kamienicy pod numerem 49. Zajrzał przez okno na pierwszym piętrze. Trochę mu przeszkadzała muslinowa franka, ale Pan Bóg sobie z nią jakoś poradził.

Mieszkanie było bogate. W salonie stał okrągły dębowy stół, na którym pachniała szabasowa wieczerza. Starsza, dostojna pani poprawiała na czole czepek, który lekko się wrzynał w jej czoło, przymknęła oczy, jakby tym nobliwym gestem powiek chciała odgonić od siebie krępującą niedogodność. Obok kobiety siedział rudy mężczyzna w marynarce skrojonej na tradycyjną modłę. To rodzice gospodyni. Było także dwoje gości. Pan Bóg znał ich nazwisko: to byli państwo Mendelsonowie. I jeszcze jedno zdecydowanie najstarsze małżeństwo, on w satynowym chałacie, ona w chustce i sukni zapiętej pod szyję, o długich rękawach zasłaniających łokcie, w fartuszkach przepięknie zdobionym haftem. Ale uwagę

Pana Boga bardziej zajmowała piękna, zielonooka ciemna blondynka, która zapalała dwie świece. Ich ogniki po chwili zaczęły się kołysać w rytm kiduszu*. Dziewczyna w modnej jedwabnej sukience nazywała się Henia. Rosły, pleczysty mężczyzna w dwurzędowym garniturze trzymał w dłoni kielich wina i odmawiał modlitwę. Mówił powoli, niezbyt głośno, cedząc słowo po słowie:

— „Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który uświęciłeś nas swoimi przykazaniami i upodobałeś nas sobie, swój święty Szabat łaskawie z miłością przekazałeś nam jako dziedzictwo, pamiątkę dzieła stworzenia. Gdyż on jest początkiem świętych uroczystości, pamiątką wyjścia z Egiptu. Gdyż nas wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów. A Twój święty Szabat łaskawie z miłością przekazałeś nam jako dziedzictwo. Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, który uświęcasz Szabat. Amen”.

Mężczyzna miał na imię Izrael, mówiło się doń Josek. Josek Koper był mężem Heni, o dwadzieścia trzy lata starszym. Tę parę gospodarzy Pan Bóg skrzętnie sobie zapamiętał.

Rozpoczęto w ciszy wieczerzę. Były śledzie, łamano chałkę, smakowano faszerowanego szczupaka, siekaną wątróbkę, gefilte fisz oraz cymes, do którego podano srebrne łyżeczki. I to sobie Pan Bóg również skrzętnie zapamiętał. Kiedy wpatrywał się w srebrną łyżeczkę, w uszach zabrzmiało mu echo słów:

„...wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów”...

* w judaizmie: ceremonia odprowadzana na początku szabatu lub innego święta dla oznajmienia czasu sakralnego

Następnie Pan Bóg spojrział na swoją dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

— Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Poczekaj.

2.

Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Nalewki, bo to była ulica gwarna, głośna jak w ulu na wyroju, szeleszcząca kartkami w składach papieru, dzwoniąca kowadłami w warsztatach szewskich, turkocząca maszynami do szycia u krawców, zaczytana w tomach leżących na półkach księgarskich, tchnąca skórzanym zapachem futer w kuśnierskich manufakturach, szumiąca wesoło przesypywanymi koralikami w galanterijnych sklepach, rozkrzyczana różnymi głosami sprzedawców. Ale zdziwił się Pan Bóg, bo na Nalewkach nie było już wesołych szumów, ochoczych pokrzykiwań, nie było radosnego gwaru, pozostały jakieś smętne resztki, dawny zapach dostatku przykrył kwaśny smród, ostało się kilka nędżnych księgarń, po dawnych kolorach w sklepach z galanterią zostało szare wspomnienie. Od ulicy Świętojerskiej do Freta i Bonifraterskiej ciągnął się wysoki mur. Ściana odgradzająca getto od reszty świata skręcała na zachód, czyniąc z tego kawałka ziemi więzienie. Na wydzielonej części miasta, w „dzielnicy zamkniętej” murem, stłoczono kilkaset tysięcy ludzi.

Pan Bóg na moment przystanął na chodniku i popatrzył na leżącego trupa, którego ktoś przykrył gazetą.

Wiatr raz po raz odkrywał twarz zmarłego. Pan Bóg przycisnął kapryśny róg gazety kawałkiem cegły i poszedł dalej wzdłuż ulicy, w stronę podwórka z mirabelką. Minął wynędzniałą manufakturę strojów karnawałowych, wytwórnię szczołek i dawny sklep z marmoladą. Pan Bóg uśmiechnął się na wspomnienie słodkiego smaku i kroczył dalej.

Zatrzymał się przy szarej kamienicy pod numerem 27, gdzie na parterze, przy szabasowej wieczerzy siedziała znana mu rodzina. Nie było już dębowego stołu, był wąski stół zbitý z sosnowych desek. Na owalnym talerzu spoczywała samotna chałka. Przy stole nie zabrakło państwa Mendelsonów, ale nie było starszej kobiety w bogatej sukni z rękawami zasłaniającymi łokcie. Byli rodzice Heni, z tym, że rudy pan Aron Rochman, który na Królewskiej nosił surdut skrojony według tradycyjnej modły, nie miał już tamtego bogatego odzienia, nie miał też bogatej garbarni. Henia nie miała jedwabnej sukienki, ale emanowała ciągle pięknem. I była w ciąży. Już zapaliła szabasowe świece, a jej mąż odmawiał kidusz. Josek Koper nie miał już mieszkania na ulicy Królewskiej i nie był już udziałowcem Spółdzielczego Banku Kupiectwa Włókienniczego ani właścicielem garbarni. Pan Bóg stał przy oknie i wsłuchiwał się w modlitwę. Wyłowił z niej siedem słów:

„...wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów”...

Dostrzegł jeden szczegół: leżącą na gołym stole łyżeczkę. To była srebrna łyżeczka. Ta z ulicy Królewskiej.

Wtedy Pan Bóg spojrział na swoją dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

— Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Poczekaj cierpliwie. To już niedługo.

Po czym Pan Bóg wzniosł się ponad getto okolone murem, popłynął nad bramą przy Ogrodzie Krasiniskich, której napis w dwóch językach wieścił, iż za murem jest obszar zagrożony tyfusem, Pan Bóg uniósł się nad ulicą Nalewki, gdzie rosła samotna mirabelka, nad Wałową, gdzie stała kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim usianym nędznymi kramami, nad ulicą Stawki, nad Umschlagplatzem i zniknął w swoim niebie.

3.

Nie było Pana Boga, gdy na ulicy Nalewki 27 umierało niemowlę. Dziewczynka nazywała się Debora i umarła z głodu, bo w getcie nagle zabrakło mleka dla noworodków. Matka karmiła córeczkę chlebem nasączonym wodą, ale ponieważ chleb był spleśniały, Deborka dostała skrętu kiszek i umarła. Tego dnia w „dzielnicy zamkniętej” umarło troje dzieci. Jeden chłopiec i dwie dziewczynki. Zwłoki zmarłych położono na wózek i wywieziono na cmentarz przy Okopowej. Pochowano je w zbiorowej mogile. Debora była córeczką małżeństwa, które dookooptowano rodzinie mieszkającej na Nalewkach, tam na parterze. W czterdziestometrowym mieszkaniu żyło już piętnaście osób. Henia chciała patrzeć, jak zabierają Deborkę na wóz, ale Jasek zakrył jej oczy szeroką, ciepłą

dłonią. Henia miała urodzić dziecko za miesiąc. Przez szpary w nieszczęlnym oknie wdzierał się mróz.

Josek Koper — którego nazwisko w dokumentach jest pisane w różnych brzmieniach — był przedsiębiorczym mężem. Trzy lata temu współzarządzał bankiem i był właścicielem garbarni w Wołominie. Josek Koper był zapobiegliwy. Przed przeprowadzką do getta wydzierżawił garbarnię pewnemu folksdojczowi. Josek miał nadzieję, że kiedy wojna się skończy, odzyska własność. Edgar Bischoff był chytry, ale uczciwy. Wynegocjował dzierżawę za bezcen, ale przekazywał Joskowi comiesięczną ratę, potajemnie w Sądach na Lesznie. Tym sposobem przedsiębiorczy Josek Koper mógł wynająć większe mieszkanie tam, gdzie Henia mogłaby urodzić dziecko. To była ulica Nowolipie, numer 49. Na szczęście Josek Koper, kiedy załatwiał lokum dla swojej rodziny, nie miał pojęcia o tym, co wydarzyło się przed kamienicą. Dwa dni wcześniej około pierwszej w nocy przed domem zatrzymał się samochód, z którego wysiedli trzydziestoparoletni mężczyzna i dwaj niemieccy oficerowie. Niemcy pozwolili mężczyźnie odejść kilka kroków, a potem do niego strzelili. Mężczyzna jeszcze żył. Dobili go dwiema kulami. Następnie zadzwonili do drzwi kamienicy i rozkazali stróżowi zabrać zwłoki. Stróż zawłókł trupa do bramy. Rano zabrano ciało. Nie wiadomo, kim był ten człowiek. Ale ani Henia, ani Josek, ani mama Heni, ani ojciec nie widzieli tej sceny. Na szczęście stróż i mieszkańcy kamienicy milczeli. Pan Bóg też milczał. Padający gęsto śnieg przykrył ślady krwi. Nowolipie na moment zamieniło się w dziecięcą szklaną kulę wypełnioną srebrzystymi pyłkami.

Mieszkanie było czyste. W pokoju stał kaflowy piec. Przedsiębiorczy Josek Koper zaopatrzył go w niewielką ilość węgla, niewielką, ale wystarczającą, by dziecko nie zmarło po porodzie. Umówił już zaufaną akuszerkę, pielęgniarkę ze szpitala na Czystem i kupił najpotrzebniejsze medykamenty w aptece „Północnej” na Zamenhofa. Josek Koper był mężczyzną racjonalnym, tak jak wymagała bankowa profesja, ale jak niektórzy finansiści był odrobinę przesądny. Toteż wyznaczył przeprowadzkę w sylwestra.

— W sylwestra? — zdziwił się pan Aron.

Pan Aron Pejsach Rochman, ojciec Heni, również mocno stąpał po ziemi. Był przecież nie tak dawno współwłaścicielem garbarni na Przyokopowej, która produkowała siodła, uprzęże i cały skórzany sztafaż dla wojska. Ale w duszy pana Arona nie było ani szczypty zamiłowania do przesądów.

— Tak, *tate*. W sylwestra będzie najlepiej — zapewnił Josek teścia.

Pan Aron spojrzął na zięcia i spytał po chwili z odrobiną ironii:

— Bo będzie wesoło?

— Tak, *tate* — odpowiedział Josek Koper. — Nowy rok, nowe życie.

— Nowe... — Aron Rochman chciał coś dopowiedzieć, ale zamilkł.

Henia i jej matka Sara nie odzywały się. W zielone oczy dziewczyny wplątał się odblask śnieżnej poświaty, która przesiąkła przez okno zaklejone na krzyż papierowym przyklepcem. Sara milczała, bo taki miała zwyczaj. Sara

Rochman miała silne spojrzenie. I to spojrzenie posłane mężowi wystarczyło, by pan Aron przytaknął:

— Jak nowe życie, to nowe życie. *Zal es zejn azoj**.

4.

A zatem przeprowadzili się z Nalewek na Nowolipie trzydziestego pierwszego grudnia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. To była środa. Zerwana kartka z kalendarza mądrzyła się maksymą Hegezjasza, że „człowiek mądry posiada przewagę nad innymi nie tyle w wybieraniu rzeczy dobrych, co w unikaniu rzeczy złych”. Czy dzień i nowy adres wybrane przez Joska Kopera były dobrymi, czy złymi decyzjami? Na to może odpowiedzieć tylko Pan Bóg, ale on skrył się w niebie.

Cały dobytek zmieścił się na wózku, a wózek był podobny do tego, którym wieziono Deborcę na cmentarz przy Okopowej. Z tym, że tamta podróż była nieco łatwiejsza, bo na ulicach nie leżał śnieg. Tym razem koła wózka grzęzły w nieprzyjaznym puchu, więc Josek Koper pomyślał, czy to nie jest zły omen, czy to Nowolipie 49, czy to dobra decyzja, czy dziecko przeżyje poród, bo, by niemowlę przeżyło, musiałby się zdarzyć cud. Josek Koper był odrobinę przesądny, ale wierzył, że zły los można pokonać niezłomną wolą. Zatem chwycił za dyszel wózka i pomógł wynajętemu tragarzowi go ciągnąć. Koła

* Niech tak będzie. (jid.)

zabuksowały, złapały twardszy grunt i wózek z dobyt-kiem ruszył. Brnęli Gęsią, minęli dom pod numerem 9, gdzie przed wojną mieścił się bank Joska, przez Zamenhofs, Nowolipkami i Karmelicką. Wózek zatrzymał się przy kamienicy na Nowolipiu 49.

Był poniedziałek, piątego stycznia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Słońce weszło tuż po godzinie ósmej. Josek Koper otworzył oczy i pocałował Henię na dzień dobry. Henia wtuliła się w ramię męża. Henia kochała wtulać się w silne, męskie ramię. Czuła ciepło i spokój. Świat nie był spokojny. Mieszkanie było zimne. Josek wstał z łóżka, zszedł do piwnicy i zmartwił się, bo zostało już niewiele węgla. Kiedy tak stał i się martwił, z góry dobiegł krzyk Heni. Josek zostawił swoje zmartwienie na kupce węgla i wbiegł po drewnianych skrzypiących schodach na piętro.

Przy łóżku, na którym leżała Henia, stali pan Aron i pani Sara. Pan Aron trząsał się z emocji. Pani Sara poprawiła szajtl* na głowie, spod którego wypadł niesforny kosmyk siwych włosów. Pani Sara zdecydowanym ruchem schowała kosmyk pod rantem czepka i posłała stanowcze spojrzenie w stronę zięcia. Wyrzekła dwa słowa, które były w jej przypadku istną szczodrobliwością:

— Wody odeszły.

Josek Koper podszedł do kredensu, na którym stał telefon. Wykręcił sześciocyfrowy numer.

— Tu Josek Koper. *Szojn***, pani Birmanowa.

* nakrycie głowy noszone przez zamężne Żydówki

** Już. (jid.)

Akuszerka mieszkała na Dzielnej. Była na Nowolipiu 49 już po dwudziestu minutach. W tym czasie Sara Rochman i Jasek Koper przygotowali wszystko, co należy przygotować do porodu. Pan Aron stał i się trząsał. Kiedy pulchna pani Birmanowa weszła do mieszkania, kiedy przekroczyła próg pokoju, rozkazała:

— *Ale gejen awek**.

Wszyscy wyszli według rozkazu. Najpierw pani Birmanowa ujęła dłoń Heni. Dłoń była zimna i mokra.

— Wszystko będzie dobrze, *mejn kind***.

Następnie pani Birmanowa zmierzyła rozwarcie i uśmiechnęła się, bo było podręcznikowe. Potem pani Birmanowa rozkazała po swojemu:

— Przyj, moje dziecko, przyj.

Wtedy Pan Bóg wyrzwał z nieba, uśmiechnął się złociście jak pani Birmanowa i sfrunął na ziemię tam, gdzie getto okolone murem, popłynął nad Nowolipkami, które pachniały śmiercią, nad ulicą Nalewki, gdzie rosła samotna mirabelka, nad Wałową, gdzie jeszcze stała kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim usianym nędznymi kramami, nad ulicą Stawki, nad Umschlagplatzem i stanął w chłodnym pokoju przy Nowolipiu 49. Wyciągnął przed siebie dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

— Lubię cię, stworku. Bardzo cię lubię. Nawet cię kocham. — Na chwilę Pan Bóg wstrzymał oddech. — Ciekawe, co zrobisz z tą miłością?

* Wszyscy wyjść. (jid.)

** (...) moje dziecko. (jid.)

Jest we wszechświecie taka długa zjeżdżalnia, po której na ziemię spływają nowe dzieci. Jedno z nich wylądowało przy Nowolipiu 49 sprószonym srebrnym śniegiem.

To była dziewczynka.

5.

Eliszewa znaczy „Bóg mą przysięgą”. Dziadkowie dziewczynki chcieli, by wnuczka tak miała na imię. Rodzice byli innego zdania. Pragnęli, by córka nazywała się Elżbieta. Pan Bóg nie wtrącał się do sporu między Joskiem i Henią a Sarą i Aronem, czy dziewczynka ma nosić żydowskie miano, czy też spolszczone. Sara twardo optowała za Eliszewą i swoje krótkie zdania przykuwała nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem. Aron wahał się. Bo Aron Pejsach Rochman lubił Polaków, a zaczytany tomik *Pana Tadeusza* leżał na szafce nocnej obok siduru*. Aron chował w sercu tylko jeden żal do Polski, bo musiał mieć goja za współnika garbarni, jako że Wojsko Polskie nie chciało kupować skórzanych produktów wyłącznie od Żyda. Na szczęście polski współnik okazał się szlachetnym, uczciwym człowiekiem, przyjacielem. Sara była bogobojną córką Abrahama, nosiła się nadzwyczaj tradycyjnie, a w duszy miała wrytą halachę** i sześćset trzynaście przykazań jak należy i jak nie należy postępować. Patrzyła ze smutkiem

* żydowski modlitewnik

** całość przepisów prawnych i religijnych oraz reguł postępowania normujących życie wyznawców judaizmu

na zięcia, który nie wkładał chałatu, nosił modne garnitury od Zaremby. Sara ciężko wzdychała, widząc, jak jej ukochana córka staje się pod wpływem męża nowoczesną Żydówką. Jednak w końcu dobra i bogobojna Sara ustąpiła, bo uważała, że najgorszą rzeczą w rodzinie są swary, że miszpucha* stanowi opokę, na której można zbudować całą świątynię Salomona. Mądra i rozważna Sara znalazła cudowny kompromis. Ano ponoć usłyszała kiedyś z ust rabina Steinberga na Tłomackiem, iż zdrobnienie „Elżunia” jest bardzo żydowskim imieniem. Zatem zawarto kompromis. Dziewczynka została Elżunią.

— Elżuniu...

Henia przystawiła pierś do warg dziewczynki. Henia poczuła błogość w ciele i duszy. Bo Pan Bóg stworzył kobietę bardziej po to, by czuła błogość w sercu i duszy, gdy karmi dziecko, niż po to, by karmiła mężczyznę jabłkiem zerwanym z drzewa wiadomości dobrego i złego. Lecz cóż zrobić, gdy w piersi zabraknie pokarmu? Tego widocznie Pan Bóg nie domyślił.

— Jasek?

— Tak, Heniu?

— Chyba jestem pusta.

Josek przystanął w drzwiach. Koper w ostatnich tygodniach wychudł, zrobił się już nie taki barczysty, jakim jeszcze był niedawno. Opadły mu ramiona pod zniszczonym paltem.

— Jak to jesteś pusta?

* rodzina lub grupa przyjaciół, będących jak rodzina

— Straciłam pokarm.

W tej chwili, w tym miejscu opowieści, niemowlę powinno się rozplakać. Ale Elżunia nie rozplakała się. Spojrzała swoimi granatowymi oczami gdzieś ponad pierś matki. Nie wiadomo, czy dostrzegła Pana Boga stojącego w drzwiach, obok zeszywniałego z niepokoju Joska. Pan Bóg minął mężczyzną i wyszedł z kamienicy przy Nowolipiu 49, skręcił w Karmelicką i zniknął w przedwiosennej mgle.

By odzyskać pokarm w piersiach, należy przystawiać niemowlę do ssania jak najczęściej. I tak Henia robiła.

— *Zojgn**, Elżuniu, pij, kochanie.

Dziewczynka była posłuszna i ssała pustą pierś. Henia już nie odczuwała błogości w ciele i duszy. Stawała się coraz bardziej pusta.

W końcu dziecko zaczęło płakać z głodu. Josek próbował zdobyć pokarm dla córeczki w stacji „Kropla Mleka”, ale dostawy do getta były nieregularne, a niemowlę coraz częściej płakało z głodu. Wtedy Henia zaczęła karmić Elżunię chlebem rozmoczonym w wodzie. Bardzo uważała, by chleb nie był spleśniały. Pamiętała, co zdarzyło się Deborce leżącej przy Okopowej w zbiorowym grobie. Chleb w getcie bywał często spleśniały albo miał w sobie piasek. Chleb był racjonowany. Jasek kupował przydzieloną rodzinie rację w piekarni na Lesznie 56. Kromkę przeznaczoną dla Elżuni moczył w słoiku. Wtedy piasek opadał na dno szkła. Następnie Henia i Sara wzbogacały

* Ssij (...) (jid.)

chlebowy miąższ cukierkami. Cukierkami, bo prawdziwy cukier był drogi, kosztował na czarnym rynku trzydzieści złotych za kilogram, a rodzina miała już coraz mniej oszczędności. Na Siennej przy Sosnowej mieścił się kiosk z prasą. Obok kiosku z gazetami stał sprzedawca cukierków i papierosów. Cukierki były mieszaniną melasy i sacharyny, owinięto je w papierki z gwiazdą Dawida. Kosztowały trzydzieści groszy za sztukę. Rozpuszczony cukierek Henia i Sara mieszały z rozmoconym chlebem, wkładały w lnianą szmatkę i Henia przytykała ów smoczek do płaczących ust Elżuni.

— *Zojgn, kochanie, ssij.*

Wtedy Pan Bóg znów pojawiał się na Nowolipiu i dziewczynka przestawała płakać. Elżunia nabierała siły.

6.

Pewnego dnia — a było to na przedwiośniu, kiedy za murem getta pąki w Ogrodzie Krasieńskich szykowały się do życia — Jasek Koper zajrzał do walizki. Pod drugim dnem znajdowała się skrytka. Tajny schowek Jasek wyszykował według wskazań teścia, jeszcze zanim rodzina została przesiedlona do getta. Aron znał się przecież na rymarskim fachu i wiedział, jak sporządzić drugie dno w skórzaney walizce. W tejże skrytce przemycono trochę majątku w gotówce, złocie i srebrze. Tu Jasek gromadził topniejące z miesiąca na miesiąc raty za dzierżawę garbarni w Wołominie. Wśród zasobów znajdowała się srebrna

łyżeczka. Gros apanaży poszło na znalezienie i wynajęcie mieszkania na Nowolipiu, gdzie miała się bezpiecznie urodzić Elżunia. Reszta rozeszła się na życie. Życie po żydowskiej stronie muru było drogie: ceny szmuglowanej żywności przewyższały o pięćdziesiąt procent te po aryjskiej. Życie po żydowskiej stronie muru było tanie: wystarczyło nosić brudną opaskę z gwiazdą Dawida, wystarczyło założyć ją na lewe ramię, wystarczyło nie tak spojrzeć na Niemca, by życie stracić.

A zatem pewnego dnia Jasek Koper otworzył drugie dno w skórzaney walizce i zmartwił. Niewiele już zostało z majątku. Jasek podniósł kartkę, gdzie z buchalteryjną precyzją były zapisane ołówkiem kopiowym wszystkie wydatki. Kilka razy sprawdził kolumny cyferek i zamyslił się. Potem przeliczył, czy starczy jeszcze na czynsz, żywność, naftę, karbid, lekarstwa dla Sary i Arona, bo rodzice Heni coraz częściej zapadali na zdrowiu. Panią Sarę męczyła astma i traciła wzrok. Majątek zgromadzony w skrytce nie był jedyną finansową ostoją rodziny. Jasek pracował w szopie Bernarda Hallmana, w zakładzie stolarskim, niedaleko dawnego lokum, bo na ulicy Nowolipki 66. Izrael Koper był teraz stolarzem, nie był już przecież finansistą. Płaca u Hallmana była nędzna.

— Jasek?

— Tak, kochana?

Henia lubiła tę nocną chwilę, kiedy Elżunia już spała. Mogła bezkarnie wtulić się w coraz bardziej chude ramię męża. Chude, ale ciągle silne. Uwielbiała zapach drewna, który Jasek przynosił ze sobą ze stolarni. A Jasek uwielbiał zielone oczy Heni, w których odbijał się siny blask

karbidówki. Henia ciągle była piękna. Piękna i zgrabna. Żadna kobieta na Nowolipiu nie miała takich nóg. Henia, mimo karcących spojrzeń Sary, nosiła spódnicę do pół łydki. Widok posągowych kształtów wzbudzał zachwyty przechodniów, nawet Niemców, co doprowadzało Joska do wściekłej zazdrości. Ale gniew gasł, kiedy leżeli wtuleni w siebie na ciasnym łóżku, opatuleni kocem i zapachem drewna. Było im ze sobą dobrze.

— Tak, kochana? — powtórzył szeptem Josek.

— Pójdę do pracy — odrzekła Henia.

Odblask karbidówki prześliznął się po zmarszczonym czole mężczyzny.

— Do pracy?

— *Jo, mejn tejere**. Będzie nam lżej.

Josek zwinął pięści. Zaciśnięte, chropawe palce wyglądały dziwacznie w półmroku. Dwie pięści zamieniły się w niezgrabne, trochę żalodne kule.

— Gdzie?

— W szopie Többensa — odrzekła ze spokojem Henia. — Będę krawcową.

Josek podniósł się na łokciu. Na twarzy zajaśniał gniew.

— Nie ma mowy.

— Dlaczego?

— Wiesz, ile tam płacą?

— Wiem.

Głos Joska był twardy. Przyjemny zapach drewna wchłonęła ciemność.

— Ile?

* Tak, mój kochany. (jid.)